

Rozdział 1

Słyszał, jak zamknęły się za nim ciężkie drzwi. Nie zamierzał jednak oglądać się za siebie. To, co się właśnie zdarzyło, rozpoczęło nowy rozdział jego życia. Natomiast ostatnie dwa lata częściowo pozostawiał za sobą. Częściowo, bo jeszcze nie mógł ostatecznie do końca tego zamknąć. Miał ku temu ważne powody. Powody, dzięki którym przetrwał ostatnie dwa lata poniżania. Dla niego, człowieka, który od zawsze miał wszystko, wystarczyło, że kiwnął palcem, by to dostać. Ostatnie dwadzieścia cztery miesiące życia były piekłem. Winny temu był jeden człowiek. Ktoś, kto stał się celem już w dniu, kiedy za Leonardem Bellem zamknęły się kraty więzienne.

Pierwsze kroki na wolności skierował w stronę czekającego na niego samochodu.

– No, stary, witaj na wolności. – Został powitany szerokim uśmiechem, kiedy zajął miejsce we wnętrzu czerwonego sportowego samochodu. Ferrari Testarossa było oczkiem w głowie Huntera Clarka.

– Nie mam ochoty na żarty. Masz to, czego chciałem? – Spojrzał na przyjaciela.

– Zabieram cię na porządny obiad, bo schudłeś mi w pace, a potem opowiem ci o człowieku, któremu poprzysiągłeś zemstę. – Uruchomił silnik i powoli wyjechał z parkingu znajdującego się przed więzieniem.

– Dobry plan, ale wolę najpierw wszystko o nim wiedzieć – odpowiedział Bell niecierpliwie. – Miałeś dwa lata na zebranie informacji o kimś, kto wpakował mnie za kraty.

– Spokojnie, wszystko wiem, stary, ale nie da się tego ot tak przekazać. Na to potrzeba czasu.

– Mam czas – szepnął Leo.

Tak, miał czas, dużo czasu na wszystko. Na swoją zemstę, którą obmyślał przez ostatnie dwa lata. W końcu nadszedł czas rozliczenia – pomyślał.

*

– Willu, telefon chyba ci dzwoni – powiedział Frank Lewis, zjadając swój lunch.

– Co? A tak, tak. Zamyśliłem się. – William Barrett niespokojnie przeciągnął ręką przez jasne włosy.

Odstawił pudełko z kanapkami, które zrobił rano przed wyjściem do pracy, i wyjął telefon. Wstał z drewnianej belki, na której siedział i odszedł kawałek od współpracownika, by odebrać połączenie.

– Tak słucham.

– Pan Barrett? – Usłyszał kobiecy głos.

– Tak.

– Z tej strony Daisy Kay nauczycielka pana rodzeństwa. Proszę przyjechać. Elsa się pochorowała. Ma gorączkę i boli ją gardło. Tobi też nie najlepiej wygląda. Lepiej by było zabrać ich do domu i położyć do łóżek.

Nie wierzył w to, co słyszy. Choroba jego rodzeństwa zawsze sprawiała problem. Oznaczało to, że musiał brać kolejne zwolnienie z pracy, by móc się nimi zająć. Co też prowadziło do tego, że w każdej chwili mógł zostać wywalony na zbity pysk. Żaden pracodawca nie mógł sobie pozwolić na to, aby trzymać pracownika, który ma więcej wolnych dni niż tych, w których pracuje.

– Ja... Ja nie wiem, czy dostanę wolne. Ostatnio ciągle coś... – Przesunął dłonią po ustach.

– Przykro mi, ale trzeba bliźniaki wziąć do domu – powiedziała nauczycielka. – Może mógłby ktoś się nimi zająć.

Niestety nikt nie chciał opiekować się siedmiolatkami, których rozpierała energia i nie potrafiły usiedzieć na miejscu. Każdy chciał mieć spokój i ciszę, a nie zabawiać czyjeś bachory. Szczególnie bachory należące do pedała. Nie mógł też dużo zapłacić za opiekę. Zwyczajnie nie było go na to stać.

– Postaram się przyjechać, pani Kay. – Ciężko westchnął.

– Gdyby była inna możliwość, nie dzwoniłabym do pana. Szkoda, aby dzieci męczyły się w szkole.

– Rozumiem. Będę jak najszybciej.

Szkoła nie była daleko. W sumie w Denton nic tak naprawdę nie było daleko. Niewielkie miasteczko pośrodku Montany miało dwie główne ulice, które były przecinane tymi mniejszymi. Nie różniło się niczym od wielu takich małych miasteczek. Parę sklepów, kościół, szkoła, park, posterunek policji i mała przychodnia oraz bar na końcu ulicy, to było to, czym Denton mogło się pochwalić. Był też warsztat samochodowy, w którym pracował Will. Aczkolwiek nie był pewny, jak długo tu zagrzeje miejsce po dzisiejszym dniu. Nawet to, że jest dobrym mechanikiem, może go nie uratować.

– Co tam? Masz taką minę, jakby ktoś ci umarł. – Zaśmiał się Lewis wrzucający do kosza papier po śniadaniu.

– Być może umarła moja praca. Dzieciaki się pochorowały i muszę je odebrać ze szkoły.

– Uchu, szef cię wypatroszy. Współczuję. Ostatnio brałeś wolne, jak twój brat wymiotował. Ale próbuj, może się uda. – Poklepał Willa po ramieniu. – Ma dzisiaj dobry humor.

– Chyba go straci. – Spojrzał w stronę budynku, gdzie mieściło się niewielkie biuro. – Życz mi powodzenia.

– Powodzenia. Ostatnio masz sporo szczęścia, uda się.

Szczęście jest ulotne – pomyślał Will. Zmusił swoje nogi do ruchu, by w kilku krokach pokonać dzielącą go od biura drogę. Zajrzał do środka, gdzie urzędowała sekretarka, ale jej nie było. Tym gorzej, bo zawsze jakoś potrafiła ukoić nerwy ich szefa. Wolał nie wiedzieć, jak to robiła.

Drzwi do gabinetu szefa były otwarte, więc zbliżył się do nich i zapukał. Serce mu coraz mocniej biło i czuł, jak po plecach spływa pot. Od tej pracy zależało wszystko. W Denton nie było dużo możliwości zarobku. Chyba że ktoś prowadził farmę i miał podpisane umowy z handlowcami lub ktoś się przyjął do pracy w polu czy przy zwierzętach.

Mężczyzna siedział za biurkiem otoczony stosem papierów. Był to przeciętny, pięćdziesięcioletni człowiek o średnim wzroście z dużym piwnym brzuchem. Na głowie jak zawsze nosił tupecik, jakby wstydział się pojawiającej się łysiny. Pomiedzy brwiami wyryła się głęboka zmarszczka, a wąskie, małe oczy spojrzały na Willa.

– Co tam, Barnett? – Jak zawsze Emmet Dalton przekręcił jego nazwisko.

– Barrett – szepnął Will. Przesunął dłonią przez swoje blond włosy, które po bokach i z tyłu były krótko ścięte, a cała reszta dużo dłuższa, przez co przód zawsze opadał mu na czoło.

– Jak zwał, tak zwał. Czego ode mnie chcesz? Nie przychodzisz tu nigdy, jeżeli niczego nie chcesz.

– Ta... Chodzi o to, że moje rodzeństwo... Pochorowało się i muszę odebrać je ze szkoły, i potrzebuję dnia albo dwóch wolnego. – Otarł spocone dłonie w spodnie ogrodniczki pokryte smarem.

Dalton popatrzył na swojego pracownika o wiele dłużej niż robił to zazwyczaj. Skrzywił się, jakby wyczuł coś bardzo śmierdzącego. Potem pokręcił głową.

– Już raz ci powiedziałem, że jeszcze jeden dzień wolnego i wylatujesz. Samochody same się nie naprawią.

– Nie żeby ich tak dużo było – szepnął pod nosem William.

– Co powiedziałaś?

– Że nie musi mi pan płacić za te wolne dni.

– Nie będę musiał ci płacić, jeżeli cię stąd wywalę na zbity pysk. – Uderzył pięścią w blat biurka, a stos dokumentów leżących na nim niebezpiecznie poruszył się.

– Kiedy jestem w pracy, pracuję za dwóch. Jestem silny, radzę sobie...

– Może i kawał chłopa z ciebie, ale miękki jesteś, Barnett. Masz jednak szczęście, że dzisiaj mam dobry humor. Potrączę ci z tygodniówki za te dwa dni wolnego. Jeżeli potem jeszcze raz to się powtórzy, osobiście wypierdolę cię stąd i kopa zasadzę.

Will pokiwał jedynie głową i wyszedł. Wolał nie ryzykować, że szef zmieni zdanie. Już lepsze było to, co zaproponował Dalton, niż utrata pracy. Chociaż pomniejszona pensja także była problemem. Na szczęście nie takim jak bezrobocie. Jak wtedy utrzymałby siebie i bliźniaków? W dodatku opieka społeczna natychmiast by się o tym dowiedziała i zabraliby mu dzieci, a na to nie mógł pozwolić.

Poszedł do szatni przebrać się, a potem pogadał chwilę z Frankiem. Był to mężczyzna słusznej postury, dużo wyższy od Willa, który pomimo swoich metra osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i tak musiał patrzeć na niego do góry. Żona mężczyzny nieraz opiekowała się Elsą i Tobym, ale nie mógł ciągle jej o to prosić. Szczególnie, że sama miała na głowie swoją piątkę, a szóste w drodze.

Wsiadł do starego pickupa, który należał jeszcze do jego ojca, i pojechał do szkoły, modląc się w duchu, by choroba bliźniaków nie trwała długo, inaczej będzie musiał stać się cud, by mógł wrócić do pracy. Nie zamierzał zostawić samych siedmiolatków w domu. Nieważne jak byli rozsądni. Gdyby coś im się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

*

– Poczytasz mi? – zapytała siedmiolatka, kiedy brat położył ją na kanapie w salonie i przykrył cienkim kocem, gdyż było za ciepło na kołdrę.

- Najpierw zrobię wam coś do picia. Nic słodkiego – zastrzegł, kiedy Toby już otwierał usta. – Połóż się, bo też nie wyglądasz za dobrze. – Położył bratu rękę na czole. Nie było tak gorące jak Elsy, ale podejrzewał, że siedmiolatek ma także temperaturę.

Toby położył się na drugiej kanapie i został również okryty kocem. Will nie chciał ich umieszczać w ich pokoju, ponieważ wolał mieć oboje na oku, kiedy sam zajmie się robieniem obiadu. Z kuchni bliźniacy będą doskonale widoczni. Jednakże podejrzewał, że szybko pogrążą się we śnie.

- Zmierzę wam jeszcze temperaturę.

- Mam prawie trzydzieści osiem, mówiła pielęgniarka – odezwała się Elsa. Blond włosy, długie do połowy pleców, miała zaplecione w warkocze, a jej niebieskie oczy przez chorobę pozbawione zostały stałego blasku.

- Ponad, tak powiedziała pielęgniarka – poprawił ją Toby.

- Zaraz wszystko sprawdzimy. Dam wam tylko coś do picia, a potem zrobię obiad.

- Nie jestem głodna.

- A ja jestem – oznajmił siedmiolatek również o jasnych włosach.

- Zawsze jesteś głodny. Ja natomiast wolałabym zjeść chipsy. – Popatrzyła na starszego brata prosząco niczym zbity pies.

- O nie, nie ulegnę temu wzrokowi – powiedział Will, podnosząc się ze stolika do kawy, na którym przysiadł. – Koniec z chipsami na jakiś czas. One nikogo nie wyleczą. Poza tym są drogie, więc nie możemy sobie ciągle na nie pozwalać. Raz na miesiąc, pamiętacie? – Uśmiechnął się, kiedy zgodnie pokiwali głowami. – Mądre z was dzieciaki.

Raz na miesiąc robił im małą ucztę. Nie chciał pozbawić ich drobnych przyjemności. Gdyby wszystko w przeszłości potoczyło się inaczej, nie musiałyby teraz walczyć o każdy dzień, by przeżyć. Życie jednak nie zawsze bywa tak łaskawe i dając trochę szczęścia, potem każe zapłacić za ten skrawek dobroci cierpieniem, problemami.

- Przyniosę termometr. – Ruszył w stronę kuchni, gdzie w górnej szafce, z dala od dzieci, leżało pudełko z lekami, opatrunkami i innymi najpotrzebniejszymi rzeczami.

- Will?

- Tak, Elsa?

- Kocham cię, jesteś moim najukochańszym starszym bratem.

- Też cię kocham. Ciebie Toby również. Zaraz wrócę.

Zanim wszedł do kuchni, usłyszał, jak Toby pyta się siostry, czy jego też kocha.

- Pewnie. Jesteś najukochańszym młodszym o pięć minut bratem.

Will roześmiał się w duchu na te słowa. Elsa potrafiła rozbroić człowieka na czynniki pierwsze. Szkoda tylko, że inni widzieli w niej tylko rozbrykaną, niegrzeczną siedmioletką. Wcale tak nie było, bo Elsa była srebrem i dwudziestosześcioletką o tym wiedział. W tym wszystkim chodziło o coś innego, o czym wolał nie myśleć. Nikt tak naprawdę nie chciał opiekować się rodzeństwem geja. W dodatku wielu uważało, że jak Will sobie nie poradzi, to zabiorą mu dzieci, bo nie powinien mieć z nimi do czynienia. Dlatego też od dwóch lat żył jak mnich i tylko w snach powracały marzenia o tym, że z kimś się zwiąże i nikt nie będzie miał nic przeciw temu. Wolał jednak upychać te fantazje głęboko w głowie, bo nie mógł ryzykować. Nawet mimo tego, jak bardzo ciążyła mu samotność. Bliźniaki były najważniejsze.

Nalał dzieciom pomarańczowego soku do kubków z uszami w kształcie zwierząt i wziął termometr, a potem, tak zaopatrzony, wrócił do salonu. Toby kłócił się z Elsą o to, który pokemon jest lepszy i musiał ich uspokajać. Zmierzył im gorączkę. Z bratem nie było tak źle, bo miał jedynie stan podgorączkowy, ale Elsa miała ponad trzydzieści osiem stopni i trzy kreski. Martwiło go to. Dał jej łyżeczkę syropu zwalczającego gorączkę, ale zamierzał też wezwać lekarza, jak nic się nie zmieni.

- Gdzie nabawiliście się choróbka? Przecież mamy późną wiosnę. Jest ciepło. - Oboje wzruszyli ramionami. - No dobra, napijcie się i pośpijcie trochę, ja w tym czasie ugotuję jakąś lekką zupę warzywną.

- Będziemy grzeczni - zapewniła Elsa. Potrafiła mówić bardzo dużo, przegadywała brata, który okazywał się chwilami bardzo nieśmiały. To, że w tej chwili nie zagadywała Willa na śmierć, dawało mu kolejny dowód na to, że siostra źle się czuje.

- Liczę na was.

Zabrał ze sobą syrop i termometr, i poszedł do kuchni. Pomieszczenie, jak i cały dom, urządzone były w klasycznym stylu, taki, jaki lubiła mama. Nic nie zmieniał od jej śmierci. Starał się tylko wyremontować pokój na górze, by go wynająć dla kogoś, ale chętnych nie było, mimo wciąż wiszącego ogłoszenia na witrynie w barze i tablicy ogłoszeniowej w mieście. Liczył na jakiegoś przyjeźdnego, kogoś, kto chce podjąć pracę na którejś z farm. Zarobione pieniądze za pokój może i nie byłyby duże, ale zawsze pomocne dla domowego budżetu.

Przez kuchenne okno ujrzał listonosza, który podjechał na rowerze do jego skrzynki i wrzucił parę listów. Kolejne rachunki – pomyślał, odkładając leki do szafki, i wyszedł na dwór kuchennymi drzwiami. Ogródek, który tutaj się mieścił, był bardzo zaniedbany, ale nie miał czasu i siły, by się tym zająć. Szopa na drewno też potrzebowała remontu, szczególnie jej dach. Zresztą dach nad domem też nie był w lepszym stanie. Na wszystko jednak potrzebne były pieniądze, a tak dużych nie miał.

Pokonał kilka metrów dzielących go od skrzynki i wyjął z niej trzy listy, które były niczym więcej jak właśnie rachunkami. Co oznaczało, że znowu spędzi wieczór nad planowaniem domowego budżetu. Mógł być dumny z siebie, że nie było żadnego upomnienia już kolejny miesiąc. Zawsze starał się wszystko na czas zapłacić. Z tym też nie mógł ryzykować. Poza tym i tak to go ominie. Gdyby tylko więcej zarabiał w warsztacie, nie byłoby tak trudno. Niestety przeklęty Dalton odrzucał jego prośby o podwyżkę, nawet wtedy, kiedy harował w pracy, nie biorąc wolnych dni.

- Dam radę – pocieszył siebie i ruszył w stronę domu, postanawiając otworzyć listy, jak dzieci pójdą już do łóżek.

Zatrzymał się jednak i obejrzał przez ramię, gdyż dotarł do niego dźwięk silnika samochodowego. Było to raczej niespotykane tak często obok jego domu, który znajdował się kawałek poza miastem. Tędy najwyżej mógł przejeżdżać jakiś traktor w drodze na pobliskie farmy. Jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że pojazd zaparkował tuż przy jego posesji. Nie był to w dodatku byle jaki samochód, ale czarny Jeep Grand Cherokee. SUV-em w takim stylu mogli się poszczycić co bogatsi farmerzy, a mężczyzna, który z niego wysiadł, ani nie wyglądał na farmera, ani nie był stąd. Poza tym, że na jego widok, coś zacisnęło się w brzuchu Willa. Facet wyglądał obłudnie. Nie klasycznie

przystojnie jak filmowi amanci, ale miał w sobie coś takiego, jakby aurę otaczającą go, że przyciągał wzrok. Dobrze zbudowana, wysoka sylwetka, rozwiane przez wiatr kasztanowe włosy i kocie, pełne drapieżności ruchy wołały o niebezpieczeństwie dla serca Williama.

– Nazywam się Leonardo Bell – powiedział nieznajomy głębokim, niskim głosem sprawiającym, że przez ciało Willa przebiegły dreszcze niepokoju i podniecenia. – Podobno można tu wynająć pokój.

Ciąg dalszy można zakupić tutaj: <https://bucketbook.pl/>